Świat powieściowy.

Nr. 106 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Tajemnice wielkiego świata.

WOLNY PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

W kwietniu r. 186..., w ładny dzień wiosenny, powozik niebieski, zaprzężony dwoma ładnemi końmi bułanemi, przejeżdżał zwolna polami Elizejskiemi, ulicą Cesarską i laskiem Bulońskim, przepełnionym wspaniałemi powozami i eleganckimi jeźdźcami.

Dwie kobiety, należące do tego świata, który zowią tak rozmaicie, a zowią inaczej prawie co roku, obie młode, obie ładne, ubrane elagancko i szykownie, na pół leżąc w powozie, odpowiadały lekkiem skinieniem głowy na uprzejme ukłony jeźdźców.

Jedna z nich była nawet dość sławną.

Była to Corinna Destremont, dawniejsza artystka teatru des Délassements-Comiques, którą bankier niemiecki Schwitzberg obrzucił djamentami.

Druga była to ładna, młodziutka artystka, jeszcze nieznana i rozpoczynająca dopiero karjerę.

Corinna wzięła ją w swoją opiekę, przyrzekając, że będzie posiadała wkrótce własne konie, a do roku obiecywała jej nawet dom wspaniały i majątek.

Nazywała się Paulina Régis.

Corinna Destremont i Paulina Régis zwracały uwagę powszechną i odbierały ciągle uśmiechy wielbicieli, gdy nagle zostały jakby przyćmione i zupełnie zapomniane.

Powozy ustępowały się z drogi, jeźdźcy kłaniali się z uszanowaniem i słychać było półgłosem wymawiane słowa:

— W istocie, jest to najpiękniejsza kobieta w Paryżu!

— Moja droga — mówiła złośliwie Corinna Destremont, do swojej przyjaciółki, Pauliny Régis — wszyscy mężczyźni są głupcy i podli!

— Co mówisz?

— Patrz!

I końcem parasolki kokieta wskazywała na powóz, który pędził szybko między innemi, jadącemi zwolna. Był to jednak powozik bardzo pojedynczy, zaprzężony jednym koniem. Na koźle siedział stangret piętnasto lub szesnastoletni, a obok niego chłopak w tym samym wieku.

Powóz był ciemny, uprząż czarna, koń gniady.

Wszystko to skromne, eleganckie i ładne.

W powozie tym siedziała kobieta, ubrana na pół w żałobie, mogąca mieć lat dwadzieścia cztery lub pięć.

Kłaniano się z uśmiechem dwom aktorkom, ta kobieta, należąca widocznie do lepszego świata, odbierała ukłony pełne szacunku i uwielbienia.

Paulina Régis wykrzyknęła naiwnie:

— Ach! jakaż ona prześliczna!

— Wszyscy to samo mówią — odrzekła Corinna z wzrastającym gniewem.

— Ależ mówią prawdę, moja droga — szepnęła ładna aktorka. — Czy nie wiesz kto ona?

— Kobieta wielkiego świata.

— O! poznać to zaraz.

— Dziękuję — odparła Corinna — dobraś dla nas moja miła.

— Wdowa?

— Zgadłaś.

— Jak się nazywa?

— Baronowa de Planche-Mibray.

— Ładnie się zowie — odrzekła Paulina Régis.

— To ciotka Leona.

— Jakiego Leona?

— Leona de Villenave, wiesz dobrze.

— Twego dawnego wielbiciela?

— Tak, moja droga

— On stracił podobno wszystko?

— To jest, jego dłużnicy stracili, bo nic im nie płaci.

— A! — odrzekła śmiejąc się ładna aktorka — o wilku mowa... znasz dobrze przysłowie.

— W istocie, Leon.

I Corinna skinęła na młodego człowieka, który przejeżdżał konno koło nich.

Mógł on mieć lat około trzydzieści, i był wcale przystojny, mimo ust cienkich, ironicznych, które są zawsze oznaką pewnej złośliwości, i spojrzenia fałszywego, jakiegoś niepewnego.

Pan Leon de Villenave zbliżył się do niebieskiego powoziku, i całując końce paluszków Corinny, rzekł:

— Zdajesz mi się trochę wzruszona, kochany aniołku?

— Jestem wściekle zła.

— A to na kogo?

— Na twoją ciotkę.

Pan de Villenave spojrzał na Corinnę Destremont z zdziwieniem i niecierpliwością, jakby zdawał się mówić:

— W istocie, nie pojmuję, co może być wspólnego między moją ciotką, kobietą wielkiego świata, a tobą?

— Będąc wdową, ładną i bogatą — ciągnęła dalej Corinna — nie powinna przyjeżdżać tutaj, współzawodniczyć z nami, i zwracać na siebie uwagę powszechną.

Pan de Villenave zaczął się śmiać.

— Uspokój się, moja droga! Moja ciotka nie ma wcale zamiaru odbierać ci twoich adoratorów.

— Ale ty jesteś w niej szalenie zakochany, nieprawdaż?

— Ja? to zależy... a zresztą, to co innego... Straciłem wszystko... Jeżeli ożenię się z moją ciotką, odzyskam znów stracony majątek. Ale dotąd... wiesz dobrze... nie udaje mi się.

— Jakto?

— Nie zdołałem jeszcze jej się podobać.

— Aha! Rozumiem — rzekła Corinna śmiejąc się.

— Jesteś arogantką.

— A więc nie masz szczęścia?

— Dotąd nie.

— Czy może kto inny ma szczęście?

— Może...

— Czy my go znamy?

— Tak, pewnie.

— Jak się nazywa?

— Manuel.

— Który, Maugeville?

— On sam, moja droga.

— Jest to pewne — rzekła Paulina Régis — że p. Manuel de Maugeville jest bardzo przystojny, bardzo dobry, miły i dowcipny. Wiecie jak kochał Magdalenę?

— Pewnie że wiemy — rzekła Corinna z goryczą.

— Powinien ją jeszcze kochać — dodał pan de Villenave.

— Biedna Magdalena — westchnęła Paulina Régis — zdaje mi się, że już półtora roku jak umarła!

— Tak, prawie.

— I odtąd nikt nie widział Manuela. Zdawał się niepocieszony.

— Ale jeżeli ciotka Leona podjęła się go pocieszyć?

— O! przepraszam — odrzekł pan de Villenave — tego niepowiedziałem, moja droga.

— Cóż więc mówiłeś przed chwilą?

— Że jeżeli kto może mieć nadzieję, to on z pewnością. Ale aby ją urzeczywistnić, trzeba coś przedsięwziąść, a dotąd Manuel pogrążony jest w żałobie.

Corinna spojrzała zimno na pana de Villenave.

— Leonie — rzekła — znam cię na nieszczęście nie od dzisiaj.

— Jesteś przyjemną!

— Muszę ci powiedzieć, że jesteś fałszywy, nieszczery.

— Zuchwała!

— Jestem przekonaną, że knujesz po cichu jakąś intrygę obydną...

Pan de Villenave drgnął.

— Ażeby poślubić piękną ciotkę i popłacić jej pieniądzmi długi — dodała Corinna. — Lecz to twoje interesa, a nie moje. Dobranoc ci, życzę szczęścia.

Mówiąc to, Corinna lekko skinęła głową panu de Villenave, chcąc go pożegnać.

Ale Leon udawał, że nie widzi.

— Kochana pani — rzekł zwracając się do Pauliny Régis — niedaleko ztąd ogródek, proś przeto swoją przyjaciółkę, aby mi nie odmówiła i chodźcie ze mną na szklaneczkę madery. Nie chcę, abyś mnie pożegnała, mając o mnie to złe wyobrażenie, w jakiem stara się mnie przedstawić twoja przyjaciółka.

— Dobrze — rzekła Corinna — chodźmy. Ale nie dowiedziesz nam, że jesteś teraz lepszy. Dawniej, gdy cię kochałam — ciągnęła dalej — byłeś złym, egoistą, kłamcą i fałszywym.

— Gdybyś jeszcze dodała podłym — rzekł pan de Villenave — obraz byłby jeszcze pochlebniejszym.

— No! no! — odrzekła Corinna — znaną jest rzeczą, że kto pojedynkuje się, ma wiele odwagi. A o ile pamiętam... szukając w pamięci... Ale nie chcę cię dziś potępiać.

— Dobra jesteś dla mnie w istocie.

I pan de Villenave zaciął konia szpicrutą, podążając w kierunku małego ogródka. W kilka chwil poźniej lokaj Corinny odbierał konia z rąk Leona. Panie te wysiadły z powozu i wszystko troje usiedli na świeżem powietrzu, przy małym, okrągłym stoliczku.

— Słuchaj Corinno — rzekł wtedy pan de Villenave — ty jesteś często okrutną dla mnie.

— A to dlatego, żem cię dawniej bardzo kochała, mój drogi.

— Zapomnijmy o tem! Jesteś więc okrutną dla mnie, a nie byłabyś taką, gdybyś znała położenie moje względem ciotki.

— Mów — rzekła Corinna — chętnie bym ci wybaczyła, gdyby były jakieś okoliczności łagodzące.

— Mój wuj, baron de Planche-Mibray, brat młodszy mojej matki, miał czterdzieści sześć lat, gdy się ożenił.

— To trochę za późno.

— W ten sposób odebrał mi majątek, na który zawsze liczyłem.

— Ależ — rzekła Paulina Régis — mężczyzna w czterdziestym szóstym roku nie jest stary.

— Szczególniej, gdy się żeni z kobietą ośmnastoletnią, nieprawdaż?

— No! ale cóż to dowodzi? Wuj twój umarł...

— Zastrzelił się na polowaniu.

— Wszystko jedno! Wdowa jego jest wolną.

— Tak.

— I najlepszy sposób odzyskania straconego majątku, byłby, poślubić panią de Planche-Mibray.

— Naturalnie.

— Ale ma do ciebie jakieś uprzedzenie, czemu się wcale nie dziwię.

— Jesteś w istocie bardzo miłą!

— I nie masz szczęścia. A więc mówisz...

— Mówię — przerwał pan de Villenave — że byłaś niegdyś dobrą kobietą...

— A więc?

— Mogłabyś mi zrobić małą przysługę.

— Jakto?

— Pomódz mi.

— Do poślubienia twojej ciotki?

— Tak.

— Ale jak?

— Możesz mi być użyteczną, jeśli zechcesz, i pani także — dodał pan de Villenave, patrząc na Paulinę Régis.

— Być może — rzekła Corinna — ale nie dopomogę ci do tego, żebyś został mężem najpiękniejszej kobiety w Paryżu, jak mówią wszyscy mężczyźni.

— Nawet gdybym dał sto tysięcy franków? — zapytał pan de Villenave tonem drwiącym.

— A! tyle mówisz! — zawołała Corinna. — Przyjdź do mnie dziś wieczór na herbatę. Pomówimy o tem.

— Do zobaczenia więc, do wieczora — odrzekł p. de Villenave, wskakując na konia.

— Co za łotr! — mówiła Corinna wsiadając do powozu. — Ale mniejsza z tem! Sto tysięcy franków!...

Paulina Régis nic nie odpowiedziała, tylko westchnęła.

Myślała o Manuelu de Maugeville.

II

P. Leon de Villenave, miał jak powiedzieliśmy lat trzydzieści, a Corinna Destremont, skreślając jego portret niepochlebny, nic nie przesadziła.

Rozpustnik, ciągłe robiący długi, niecierpiany był przez wuja, pana de Planche-Mibray, który może dla tego się ożenił.

P. de Planche-Mibray, którego poznaliśmy w prologu tej powieści, po śmierci przyjaciela swego, pana de Maugeville, zerwał z całym światem i stał się odludkiem.

Zemek de Planche-Mibray, niegdyś tak gościnny, głośny z swoich polowań, na które cała szlachta okoliczna zjeżdżała, teraz stał pustym.

Pan zamku czasami polował, ale polował sam.

Przez ośmnaście lat widziano go jak jeździł zawsze w kwietniu i wrześniu do Paryża, i powracał po miesiącu.

Po ośmnastu latach, rozeszła się pogłoska w Auxerre, że p. de Planche-Mibray żeni się.

Miał wtedy lat czterdzieści sześć.

Siostra jego, pani de Villenave, żona urzędnika, była tem oburzona i wystąpiła otwarcie.

Siostrzeniec jego, chociaż bardzo młody jeszcze, utrzymywał, że wuj zabrał mu majątek.

Pan de Planche-Mibray nic sobie nie robił z tego oburzenia i z tych skarg.

Pewnego pięknego poranku przyjechał z młodą żoną, mającą wtedy lat około dwadzieścia.

Ożenił się w Paryżu.

Szlachtę okoliczną nie zaprosił na wesele, i nie posłał nawet biletów, uwiadamiających o zaręczynach.

Kto była młoda baronowa i z jakiej familji pochodziła?

Ciekawość była powszechna, starano się dowiedzieć, lecz nie można było dojść tej tajemnicy.

Odtąd p. de Planche-Mibray był szczęśliwym.

Będąc bardzo majętnym, przepędzał zimę w Paryżu, lato w Burgundji, i podróżował ze żoną co roku.

Do zupełnego szczęścia, pragnął jeszcze tylko dziecięcia.

Właśnie mówiono, że baronowa spodziewa się zostać matką, gdy zdarzył się straszny wypadek.

Pana de Planche-Mibray, który poszedł jak zwykle sam na polowanie, znaleziono z głową roztrzaskaną w miejscu odludnem, u stóp muru.

Strzelba jego wypalona, leżała obok niego.

Wezwani lekarze natychmiast orzekli śmierć przypadkową, odrzucając domysł morderstwa lub samobójstwa.

W istocie śmierć barona zdawała się być przypadkową.

Koło muru znajdowały się gęste krzaki.

Baron widocznie chciał przeleźć przez mur, lecz będąc już na murze, zaczepił strzelbą o krzaki, a ta wypalając, roztrzaskała mu głowę.

Młoda baronowa tak to odczuła i tak ją to przeraziło, że wkrótce powiła syna, ale nie żywego.

Półtora roku upłynęło od tej pory.

P. de Planche-Mibray, będąc bardzo przezornym, zaraz w pierwszym roku swego małżeństwa zrobił testament, zapisując żonie cały swój majątek, w razie gdyby umarł bezdzietny.

Testament ten do reszty rozjątrzył Leona de Villenave i jego matkę.

Ale Leon de Villenave należał do rzędu tych fałszywych ludzi, jak mówiła nieraz Corinna Destremont, umiejących ukryć swe myśli i wyczekujących cierpliwie dokonania raz powziętego zamiaru.

Zdawał się zrozpaczony śmiercią swego wuja, i oddał się całkiem na usługi młodej ciotce.

Ale pani de Planche-Mibray, odziedziczyła po mężu antypatję do swego siostrzeńca, i miała do niego jakieś uprzedzenie i nieufność osobistą. przyjmowała go u siebie bardzo rzadko, i niechciała nigdy przyjąć żadnych jego usług.

Nie przeszkadzało to jednak panu de Villenave, który trwonił resztki ojcowizny, poprzysiądz sobie, że prędzej czy później, dla zrestaurowania się, musi poślubić baronowę de Planche-Mibray.

Teraz, wracając ze spaceru, Leon de Villenave zostawił konia w ujeżdżalni, na ulicy Duphet, i idąc

pieszo wzdłuż bulwarów, aż na ulicę Helder, gdzie miał pomieszkanie kawalerskie, mówił sam do siebie:

— Dotąd moja piękna ciotka nie pomyślała jeszcze o powtórnem zamęźciu, i opłakuje męża swego pięćdziesięcioletniego ze stałością podziwienia godną, ale nadejdzie dzień, w którym o tem pomyśli, i wtedy zobaczy obok siebie Manuela de Maugeville, a ja tego nie chcę.

Dla lepszego zrozumienia tej przemowy pana de Villenave do samego siebie, musimy dodać, że Manuel de Maugeville, o którym mówi, miał lat dwadzieścia siedm lub ośm, a był jedynym synem brata starszego nieszczęśliwego Gastona de Maugeville, zamordowanego w Auxerre przed dwudziestu trzema laty, przez kuglarza Fanfreluche'a.

P. de Planche-Mibray bardzo lubił Manuela, i przyjaźń, jaką miał dla jego stryja, przeniósł był na bratanka.

Manuel był jednym człowiekiem, którego baron nie unikał, stawszy się odludkiem, i drzwi pałacu zawsze były dla niego otwarte.

Młoda baronowa także odziedziczyła po mężu to przywiązanie.

Lubiła bardzo młodego człowieka, którego mąż jej nazywał chętnie swoim synem, nie zastanawiając się nad rodzajem tego przywiązania.

P. de Villenave czuł, że z tej strony groziło mu niebezpieczeństwo, i tutaj powinien najpierw się zabezpieczyć.

I idąc dalej, mówił jeszcze sam do siebie:

— Manuel de Maugeville, który zresztą jest moim serdecznym przyjacielem, kochał się szalenie i doznał straszliwej boleści w życiu.

Zakochał się w dwudziestym roku, w pięknej grzesznicy, znużonej już życiem, Magdalenie Bertin.

Ubóstwiał Magdalenę, chorą już i umierającą.

Umarła mu na rękach.

Kobiety zwykle, a szczególniej mające naturę mojej pięknej ciotki, lubią przeszłość poetyczną człowieka, który im mówi: „kochałem, cierpiałem, — przestałem cierpieć, chciałbym być szczęśliwy, kochając jeszcze.“

Manuel nie wiedząc może o tem, już się w części pocieszył. Trzeba tylko wzniecić iskierkę, by powstał pożar i rzucił go do stóp jakiej pięknej kobiety.

Jeżeli nie przeszkodzę, to tą kobietą z pewnością będzie moja ciotka.

Ale jeżeli Corinna zechce mi pomódz, rzucę go do nóg jakiej nędznicy, która go osławi w sposób skandaliczny, i zamknie mu na zawsze wstęp do domu mej ciotki.

Jednakże byłoby to jeszcze nie wystarczające.

Będąc przyjacielem Manuela, jego mentorem, będę się starał nawrócić go na drogę rozsądku, podniesie mię to w opinji pani de Planche-Mibray, a gniew, duma obrażona, dokonają reszty.

Jak widzimy, Leon de Villenave, był dość zręcznym dyplomatą.

Przyszedłszy do siebie, zadzwonił na lokaja i począł się ubierać.

— Proszę pana — odezwał się lokaj — pytał się tu o pana jakiś dziwny człowiek.

— Któż to był ten człowiek?

— Wyglądał zresztą bardzo dobrze, ale twarz miał tak ciemną jak mahoń.

— Mulat?

— Nie, sądziłbym prędzej co innego.

— Któż taki?

— Cygan.

— I człowiek ten pytał się o mnie?

— Tak.

— Czy powiedział jak się nazywa?

— Zostawił bilet.

P. de Villenave spojrzał na bilet.

Adresu na niem nie było żadnego, tylko imię dziwne brzmiało: Munito.

— Cóż chciał odemnie ten człowiek?

— Nie wiem.

— Czy mówił, że jeszcze przyjdzie?

— Mówił, że albo odnajdzie pana wieczór w klubie, albo przyjdzie jutro rano.

P. de Villenave, nie przywiązując do tego wypadku żadnej wagi, skończył się ubierać.

Potem poszedł na obiad do klubu, zabawił tam do dziewiątej, napisał bilet do Corinny, posłał po fiakra i kazał się zawieźć na ulicę Université pod numer 7.

Tam to mieszkał Manuel de Maugeville.

Młody człowiek zamieszkiwał drugie piętro w starym pałacu familijnym, i urządził sobie wygodne mieszkanko kawalerskie.

Od śmierci swojej kochanki, Manuel prowadził życie bardzo spokojne i smutne.

Co wieczora wracał do domu już o dziewiątej, siadał przy kominku i nie wychodził więcej.

P. de Villenave był więc pewnym, że go zastanie.

Manuel ucieszył się jego przybyciem, i przyjął go z radością człowieka, który się nudzi, a każda wizyta jest dla niego przyjemnością i rozrywką.

P. de Villenave umiał korzystać z tej przyjaźni, gdyż kieszeń Manuela była zawsze dla niego otwartą.

— Poczciwy jesteś i dobry, że przyszedłeś — rzekł podając mu rękę.

— Mój przyjacielu — odrzekł Leon de Villenave — przychodzę pomówić z tobą o rzeczy bolesnej.

Manuel drgnął.

— Wybacz... chodzi tu o biedną Magdalenę...

Czoło Manuela zasępiło się, potem uśmiechnął się melancholijnie.

— Biedne dziecko! — szepnął — kochałem ją bardzo.

— Czy pocieszyłeś się już trochę? — zapytał obłudnie p. de Villenave.

— Czas jest najlepszym pocieszycielem — odpowiedział Manuel.

— To znaczy — myślał Leon de Villenave — że

właśnie w porę możesz spostrzedz piękne oczy mojej ciotki...

Potem odezwał się głośno:

— Ta biedna Magdalena, której przeszłość do nas nie należy, umarła jak święta; miłość oczyszcza jak ogień!

— Z pewnością — odrzekł Manuel — ale do czego zmierzasz?

— Do tego, że wszystko, co należało do Magdaleny, powinieneś posiadać

— Wytłumacz się.

— Widziałem prześliczny jej portret w rękach kobiety, którą może znasz z widzenia.

— Cóż to za kobieta?

— Paulina Régis.

— Nie znam jej, słyszałem tylko o niej. I mówisz, że ona ma portret Magdaleny?

— Tak, prześliczny, robota Pérignon'a.

— Ale czy mi go odstąpi?

— Z pewnością, jeżeli ją sam o to poprosisz.

— Czy mam pójść do niej?

— Jeżeli chcesz, ubierz się, zaprowadzę cię do domu, w którym ona zwykle przepędza wieczory.

— Ale — rzekł Manuel wahając się — kiedy ja zerwałem z całym tym światem.

— E, co tam! — odrzekł Leon de Villenave — ręczę za ciebie. Chodź...

I zabrał z sobą Manuela do Corinny Destemont, do której odchodząc z klubu, posłał bilet na prędce.

Co pisał do niej, zaraz się przekonamy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Angielska historja

NOWELLA

NAPISAŁ MIECZYSŁAW SCHMITT

(Ciąg dalszy.)

IV

Koło godziny piątej tego samego dnia, w którym pan Stockford opuścił tak nagle miasto, w hotelu, gdzie pozostali państwo Meeding, panował pewien nie zwykły ruch.

— A ja wam mówię — twierdził pierwszy garson hotelowy, przemawiając do kilku osób ze służby — a ja wam mówię, że nie potrzeba ich niepokoić! To angliki, którzy zwykle śpią cały dzień, a żyją w nocy.

— Ale gdzieby tam spali tak długo — oponowała wesoło subretka. — Choćby z samego głodu, jużby powstawali.

— Przecież nie pomarli! — zauważył portjer.

— A kto ich tam wie — rzekł stróż. — Toć to ludzie inni jak nasi. Ani to się z nimi rozmówić... i powiadają, że nie katoliki... Jużto, co prawda to prawda, ale ja tam takich ludzi nie lubię! Przytem — mówił tajemniczo — miałem brzydki sen!

— Sen? jaki? — pytała subretka zbliżając się.

— E, coż tam sny!... głupstwo! — twierdził garson.

— Nie tak bardzo panie Józefie — odparła obrażona. — Sen czasem wiele znaczy. No Janie, cóż się wam śniło?

— Widzi panna -- począł Jan — siedziałem sobie jak zwykle w nocy, na ławce w bramie. A że się człowiek nałazi cały Boży dzień, nic dziwnego, że i zasnąłem. Jak to tam długo trwało, to nie wiem, dość że nagle śni mi się, iż jakaś pani z rozpuszczonym włosem... tak aż po same kolana, i taka piękna jakby jaka święta, stoi nademną i coś mówi. Tylko nie mogłem na żaden sposób zrozumieć, co mówiła... Ja to jej panie, mówię, że nie rozumiem, czego by chciała... a ona złożyła tak ręce jak do modlitwy, i ze łzami w oczach zaczęła kiwać głową i na bramę pokazywać. Myślałem sobie, coby to znaczyło... ale nim się namyśliłem, coś stuknęło tak, jakby wystrzelił z armaty...

— A wyście się przebudzili! — zawołała Rózia.

— A panna jak to wie? — zapytał Jan z dziwnym strachem w głosie. — Toć przecież człowiek jest tylko człowiekiem, i nie może wiecznie chodzić z otwartemi oczyma! Czasem się zdrzymnie...

— Ale cóż to za stuk was obudził? — pytano.

— A no, coś drzwiami trzasło, bo jak się przebudziłem i zaglądnąłem, to zasuwa była otwarta, a ktoś pewnie wyszedł, ale jak i którędy... tego nie wiem...

— No przez bramę... koło was. Kiedyście spali, toście i nie słyszeli!

— Gdzietam panie Józefie. Człowiek już tak nawykł, że choć śpi, to słyszy. Ot tego złodzieja, jak złapałem wtedy, a także spałem!—zakończył Jan i odszedł od grona reszty służby.

Panna Rózia, zaciekawiona tem wszystkiem, postanowiła tymczasem, nie mówiąc nic nikomu, wejść do pokojów państwa Meeding. A że rezolutna dziewczyna nie namyślała się nad niczem długo, opuściła wnet towarzyszów, i pospieszyła na górę. Jak już powiedzieliśmy, wspólny przedpokój łączył mieszkanie pana Stockforda z salonami państwa Meeding. Rózia weszła najpierwej do pustego pokoju. Nie znalazłszy tam jednak nic uwagi godnego, zwróciła się ku przeciwnej stronie, i zapukała lekko do drzwi Nie słysząc żadnego ruchu w pokoju, zapukała silniej... potem jeszcze silniej, nakoniec wzięła za klamkę. Lecz drzwi były zamknięte. To dziwne — pomyślała — klucza w drzwiach nie ma... Co to może znaczyć?... Zaglądnęła przez dziurkę w zamku... niczego przecież dojrzeć nie mogła. W pokoju bowiem było ciemno, zapewne z powodu zapuszczonych firanek. Zniecierpliwiona, poczęła pukać na dobre. Głucha jednak cisza była całą odpowiedzią.

Dziewczyna zlękła się. Postanowiła pójść i zawiadomić o tem gospodarza, który też wnet z resztą słu-

żby, począł nadaremnie szturmować do drzwi. Gdy w końcu hałas ten sprowadził i wielu lokatorów, postanowiono zawezwać komisarza policji i rozbić drzwi w jego obecności.

Komisarz, za którym długo szukano, zjawił się nareszcie już tak późno, że musiano podać światło.

Po pierwszych przedwstępnych pytaniach, które zadawał sprytnie służbie i sąsiadom, przystąpiono do otworzenia drzwi. Komisarz wszedł sam, a za nim jeden tylko ajent.

W pokoju tym nie znaleziono nic, oprócz kilku kufrów z rzeczami. Pokazało sią jednak, że drzwi do drugiego, sypialnego pokoju, były również zamknięte, i klucza nie było. Otworzono nareszcie i te, a widok, jaki się przedstawił zalęknionym oczom widzów, był następujący:

Koło jednego z łóżek, leżał jakiś człowiek twarzą zwrócony ku ziemi i z rękoma rozciągniętemi w krzyż. Łóżko zaś same było pomięte, rozrzucone i w nieładzie świadczącym, iż na niem lub przy niem, musiała się odbyć jakaś straszna walka. Drugie łóżko było nietknięte, jak i inne rzeczy i meble w pokoju.

Komisarz przywołał gospodarza z Józefem.

— Wszak pod ten numer, ulokowałeś pan dwoje tych państwa? — zapytał.

— A tak, państwo ci zajęli ten pokój z salonem, a ojciec ich, gabinet obok.

Przystąpiono do leżącego na ziemi człowieka, i obrócono twarzą do góry, na widok której, wszyscy, cofnęli się ze wstrętem.

Była to twarz starca, zohydzona piętnem jakiejś strasznej namiętności, wyrytej na niej w chwili skonu. W na pół otwartych ustach zastygła piana, wyglądała jak w trupiej czaszce świecące jamy. Odsłonięte oko, choć martwe, zdawało się iskrzyć jak oko hieny w ciemności. Rozburzony włos szpakowaty, ubierał głowę jakby lokami Meduzy, a głębokie bruzdy wyryte na twarzy, nadawały jej wyraz dzikiego tryumfu, jaki ma tygys, gdy czuję ofiarę pod swymi szponami.

Komisarz przemógł jednak wkrótce obrzydzenie i wstręt — i począł szukać życia w tem cielsku. Wezwano lekarza. Był to już prawie starzec. Schylił się nad leżącym, opatrzył, opukał i rzekł:

— Ten człowiek skonał najmniej jeszcze przed dziesięcioma godzinami.

— W skutek czego śmierć nastąpiła? — pytał komisarz.

— To obdukcja okaże — odparł lekarz, rozglądając się po pokoju. — Lecz dla czego mnie pan o to pytasz?

— Bo w pokoju tym mieszkały dwie osoby, a jedna z nich zniknęła w sposób niewytłumaczony.

— Któż taki? — badał lekarz.

— Odpowiem jak pan mnie przed chwilą: śledztwo to dopiero wykryje. Na razie wiem tyle tylko, że oto ten jegomość leży tu martwy, a kobieta zniknęła.

— Kobieta? — zapytał lekarz, biorąc nieznacznie ze stolika mały flakonik z jakimś płynem.

— Co pan wziąłeś ze stolika? — zawołał komisarz.

— Nic! — odparł lekarz, pokazując mu próżną rękę. — Nie biorę jednak za złe pańskiej troskliwości — dodał z uśmiechem. — Wiem bowiem dobrze, jak to czasem najmniejsza drobnostka, staje się kluczem rozwiązującym najzawilsze zagadki tego rodzaju. Lecz zdaje mi się, iż jestem tu już nie potrzebny.

— Proszę tylko o podpisanie protokółu.

Po podpisaniu przez lekarza, uczynili to samo inni obecni.

Gdy przyszła kolej na gospodarza, zawołał on:

— Ach, że też o tem zapomniałem! wszak ten drugi anglik, który wyjechał, zostawił mi list do tych państwa.

— Pokaż pan!

— Oto jest.

Komisarz otworzył, lecz niestety, pismo to było dlań zupełnie niezrozumiałe.

— Pozwól panie komisarzu, znam trochę ten język — wmięszał się doktór, a biorąc list, zwrócił uwagę obecnych na brak adresu i odczytał co następuje:

„Drogie dzieci!

Nadzwyczaj ważny interes, o którym obszernie z Londynu doniosę, zmusza mnie do wyjazdu. Depesza nadeszła tak niespodziewanie, że nie mogę czekać nawet waszego przebudzenia. Żegnam was więc i życzę jak najwięcej szczęścia i jak najdłuższych miodowych miesięcy.

Kochający ojciec Allen.

P. S. Zabawcie w tem mieście kilka dni, dokąd nie otrzymacie odemnie wiadomości."

V

Wiadomość o zdarzeniu w hotelu, rozniosła się po mieście lotem błyskawicy.

— Zabito gospodarza hotelu — mówili jedni.

— Zamordowano trzech francuzów — opowiadali inni.

— Poobcinano głowy całej rodzinie angielskiej z siedmiu osób się składającej — twierdzili niektórzy.

— Zrabowano i wycięto w pień wszystkich lokatorów, służbę, gospodarza i cztery konie w stajni!... — brzmiała ostateczna wersja, która też przez służbę doszła do uszu pana Amadeusza N., jego młodziutkiej córki panny Heleny, i siostry, niemłodej już, gderliwej panny.

Dom, gdzie mieszkali, stał zaledwie o sto kroków od znajomego nam hotelu.

Nowinę tę przyniosła Handzia, ulubiona pokojówka panny Heleny.

— E! bajki wyplatasz — zburczał pan domu, otyły, o poczciwej, dobrodusznej fizjonomji, znamionującej nadewszystko brak stałości.

— Niechże pan zajrzy przez okno, cała ulica pełna ludzi. Wojsko obsadza właśnie hotel. Sama słyszałam,

jak jeden pan z komisji, kazał przywieźć czterdzieści trumien! O, proszę, niech państwo patrzą... właśnie je wiozą!

Wszyscy spojrzeli w okno.

Przy słabem świetle latarni, nie można było jednak widzieć dokładnie. Tyle tylko spostrzeżono, że jakiś wóz, rodzaj wojskowego ambulansu, zajechał przed hotel, że policja rozpędziła tłum, że potem wyniesiono z hotelu jakąś pakę, włożono do wozu, bramę zamknięto, wóz odjechał, a zwykła cisza zapanowała na ulicy.

Panna Helena odeszła od okna, widocznie niezadowolona. Co tam się roiło w jej ośmnastoletniej pięknicie główce, trudno by odgadnąć. To jednak było pewnem, że milutkim, choć na teraz gniewnym głosikiem, poczęła zrzędzić na skonfundowaną Handzię.

— Ja temu nic nie winna — tłumaczyła się pokojówka. — Rózia, panienka wie, ta z hotelu, przecież mi sama wszystko opowiadała.

— Mówiłaś jednak, że wszystkich wymordowano — wmięszał się pan domu, nader zadowolony, że się mógł popisać, tą w jego mniemaniu nader bystrą uwagą. — A skoro wszystkich zabito, to jakże ta Rózia...

— Ona jedna uciekła! — przerwała Handzia i dodała w duchu: — Ale dam ja jej za to, że mnie tak okłamała.

W mieście, na jednej ulicy, wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi. To też i Rózia wiedziała doskonale, że u państwa N. bywa pan Gustaw, i że ile razy spotkał Handzię na ulicy, bardzo się do niej mile uśmiechał. Że zaś panna Rózia roiła plany, sięgające dość wysoko, a do hotelu, w którym służyła, zajeżdżała matka pana Gustawa, i ona do niego bardzo mile, choć niestety bezskutecznie się uśmiechała, ztąd niechęć i zazdrość do Handzi obudziła się w jej sercu. Czem mogła, dokuczała więc domniemanej rywalce. Panna Rózia żywiła też przekonanie, że w razach takich, choćby najdrobniejsza rzecz lub najniewinniejszy szczegół, może wywołać ogromne skutki. Że się nie myliła, przekonamy się może wkrótce.

Rozmowa prowadzona jeszcze czas jakiś na temat tego zdarzenia, urwała się w końcu. Pan Amadeusz usadowiwszy się wygodnie w fotelu, począł drzymać nad dziennikiem, panna Aniela, która dzisiaj była wyjątkowo bardzo małomowna, wyszła z Handzią, a panna Helena, pokręciwszy się czas jakiś po pokoju, usiadła w końcu przy fortepianie, i poczęła to jedną, to drugą ręką, draźnić struny tego instrumentu.

Musimy tu opowiedzieć pokrótce dzieje naszych znajomych.

Pan Amadeusz, daleki krewny i najszczerszy przyjaciel matki pana Gustawa, sprzedawszy majątek po śmierci żony, osiadł stale w mieście, oddając się z całym zapałem wychowaniu, a raczej wypełnianiu wszystkich zachceń swojej ukochanej jedynaczki, w czem zresztą dopomagała mu szczerze jego siostra panna Aniela.

Pani Z, matka Gucia, czyniła im nieraz uwagi, iż niewłaściwie postępują. Uwag tych słuchano zwykle z wielką pobożnością, przyznawano pani Zofii zupełną słuszność, obiecywano poprawę... lecz na tem się i kończyło, a Panna Helena, ucząc się wszystkiego i niczego, to kapryszac, to śmiejąc się, to płacząc, stanęła nareszcie u kresu tej troskliwej edukacji. Dzisiaj inna już troska zasępiała zacne oblicze p. Amadeusza. Nadszedł bowiem czas pomyślenia o mężu dla córki. Wprawdzie istniał między nim a panią Zofią tajemny układ (o którym jednak wszyscy wiedzieli) połączenia dzieci zaprzyjaźnionych domów, lecz widocznie przynajmniej nie zanosiło się na nic podobnego. Pan Gustaw bywał wprawdzie dosyć często, panna Helena, nie pogardzała też wcale jego towarzystwem, ale chwili tej upragnionej i wymarzonej przez p. Amadeusza, chwili rozrzewniającej, w której Gucio rzucając się w jego obszerne objęcia, zawołałby: »ojcze, nazwij mnię synem«! trudno się było doczekać. To też pan Amadeusz prawie zrezygnował, i począł oglądać się za innym konkurentem. Otworzył salony, spraszał gości, dawał bale, koncerta... no, i dzisiaj właśnie oczekiwano liczniejszego towarzystwa. Panna Helena popadła w zadumę. Oparta niedbale o poręcz krzesła, prawą ręką męczyła kość słoniową pianina, starając sie zeń wydobyć jakąś melodję, lewą zaś opuściła zupełnie bezwładnie. I ładnie jej było w tej pozie. Główka ubrana jasnym, jak jedwab lśniącym, krótko ostrzyżonym i kędzierzawym włosem, pochylona na bok, uwydatniała piękną i harmonijną linię śnieżnej, wytoczonej szyji, i zgrabne kształty ramion i gorsu. Wielkie, jasne, niebieskie oczy, utkwione w tej chwili w jakiś idealny punkt w przestworzu... salonu, na pół przyćmiewała ciemna rzęsa, nadając w tej chwili tak oku jak i wydatnemu, alabastrowemu czołu, pozór myśląco melancholijny. Zgrabny, nieco za filuterny do całości nosik, różowe na pół otwarte usteczka, dwa maleńkie, ledwie widzialne, dołeczki pustoty, i łagodnie zaokrąglone białoróżowe lica, uzupełniały się nawzajem w wywołaniu jak najprzyjemniejszej harmonji, i bardzo sympatycznej całości figurki panny Heleny. Marzyła!... O czem? nie wiemy, a tyle tylko możemy powiedzieć, że w marzenia takie zapadała często, i że wbrew wrodzonej żywości i ruchliwości, szczególniej w towarzystwie męskiem, była spokojną, poważną, a choć rozmowną, rozmowę prowadziła o rzeczach zwykle młodzież mało obchodzących.

Przezwano ją też marzycielką, idealistką. Imienia »bas bleu« nie można jej było nadać, dla... mniejsza o to, dla czego!

Wejście kilku gości obojga płci, przerwało drzemkę pana Amadeusza, i zadumę jego córki.

Rozmowa potoczyła się oczywiście po pędzącem kole świeżego zdarzenia hotelowego. A jak linia koła nie ma początku i końca, tak i podawane za najświeższe wiadomości, były bez wyjścia.

Gości przybywało coraz więcej, rozmowa ożywiała się coraz bardziej, zaczęto myśleć o jakiejś grze. Mło-

dzież skupiła się w jednym kącie salonu, panie na kanapach obmawiały nie swoje córki, starsi zaś panowie przeszli do pokoju karcianego.

Wejście pana Augusta M., przerwało jednak na chwilę zamiary wszystkich.

Rzucono się formalnie na nowo przybyłego.

Powiemy tu o nim krótko, że był wdowcem, młodym jeszcze i bardzo przystojnym, a znanym w domu p. Amadeusza i nader przez wszystkich lubianym od dawien dawna. Po śmierci żony, którą ubóstwiał, podróżował długi czas, a teraz dopiero powrócił.

— Co za miła niespodzianka! — wołano zewsząd.

— Jak się masz mój kochany... szczerze pana witam... uniżony sługa... — i tak dalej, sypały się słowa zewsząd jak grad.

Gdy nareszcie uspokojono się nieco, dowiedziano się, że wrócił wczoraj wieczór, a wiedząc, iż właśnie dzisiaj tutaj tylu znajomych zastanie, pospieszył, i dziękuje za tyle dowodów pamięci i sympatji.

Wmięszał się zaś między młodzież.

— Gdzież Gustaw? — zagadnął Jana.

— Nie wiem!

— Zapewne w domu — dodał dziwnym tonem pan Eugeniusz.

Pan August spojrzał na mówiącego pytająco, lecz daremnie, bo pan Eugeniusz był już bardzo zajęty rozmową z piękną brunetą, której asystował.

— Więc jesteś pan zdania, że to żona zabiła męża i uciekła? — pytała.

– Nie inaczej.

- Lecz jakżeby mogła, obca, w nieznanem mieście, nie rozumiejąca naszego języka. ukryć się? Dotąd zaś wszelkie poszukiwania okazały się daremnemi.

— Niech pani nie zapomina, że pociąg do granicy odchodzi dodnia, że więc...

— Czy mowa o tem zabójstwie? — wmięszał się pan August.

— Tak — odparła panna Helena.

— Przyznam się, iż nie wiem, jak właściwie rzecz się miała.

Panna Helena znając już prawdę od przybyłych, opowiedziała ją po krótkości, przyczem wynurzyła współczucie dla domniemywanej zabójczyni.

— Pragnęłabym ją ujrzeć — dodała — lub przynajmniej wiedzieć z opisu, jak wygląda ta nieszczęśliwa.

— Życzenie pani może się ziścić —- rzekł na to pan August. —- Z opowiadania bowiem sądząc nie wątpię już teraz, że osoby, z któremi jechałem wczoraj od granicy do miasta, są temi samemi, o których mowa.

— Prosimy — zawołano zewsząd ciekawie, a oczy wszystkich tak bacznie były zwrócone na mówiącego, iż nikt nie spostrzegł wejścia Gucia, który też nie chcąc przerywać opowiadania pana Augusta, milczał i czekał opodal końca.

— Na granicy—mówił pan August— wsiadłem do coupé, zajętego już przez dwóch mężczyzn i jedną kobietę. Obydwaj panowie byli już starzy. Jeden, jak się później dowiedziałem, ojciec młodej kobiety, dosyć miłej, choć zimnej i sztywnej powierzchowności. Drugi... o! drugiego fizognomji nie zapomnę nigdy! Wysoki, chudy, sztywny, z okiem zapadłem, wargami wywróconemi i uwidoczniającemi tem lepiej kilka czarnych, jakby wilczych zębów, twarz cała pomarszczona i żółta, oto obraz męża... męża młodej kobiety!

— Jakto męża? — pytano.

— Było to młode małżeństwo, odbywające podróż poślubną, dla oryginalności w stronę Syberji.

— O jej obraz prosimy! — wołano.

— Nie tak to łatwo — wymawiał się pan August — przyznacie zaś państwo sami, jak trudne moje zadanie, gdy powiem, że piękniejszej kobiety nie widziałem w życiu!

— A a - a - a — bąkano, szczególniej panie, nie bardzo zadowolone, że w ich obecności śmiał ktoś powiedzieć, iż widział inną, piękniejszą.

—- Lecz przecież, choć w przybliżeniu nam ją opisz — prosili mężczyźni.

— Wszak wszyscy znacie Madonnę Murilla. Niechaj tylko z jej oczu błyska nie ów święty ogień, którym przenika widzą postać malarza, ale ów ogień więcej ziemski .. dodajcie ten uśmiech pełen wdzięku i uroku, ten powabny układ... tę żywą inkarnację kolorów... ten włos hebanowy w tysiącu splotach i zwitach... niechaj przytem oświetli ją w ciemności słabe światło lampy, a będzie się wam zdawało jak mnie, iż macie przed sobą jakieś nadziemskie zjawisko.

— Co za temat dla malarza — dodał po chwili milczenia. — Kobieta taka, uciekająca sama ulicami ciemnemi, po spełnionem morderstwie! A jeżeli ją kto spotkał... ten musiał stanąć na jej widok... i albo skamienieć, albo uciec jak przed widmem! Wyobrażam ją sobie: włos rozpuszczony, ogniem ziejące czarne oko, utkwione z grozą w ciemnej przestrzeni nocy, chód niepewny, chwiejny...

— To ona! — zawołał w tej chwili Jan.

Gustaw zbladł i zachwiał się. Na szczęście Eugeniusz, który to widział, trąciwszy Jana zagadał jakoś sprawę, i nikt nie zwrócił uwagi na wykrzyk Jana.

Spostrzeżono jednak Gustawa, i powitania przerwały dalsze opowiadanie. Wkrótce też podano wieczerzę, ale pomimo gościnności i zachęty gospodarstwa, wesołość nie powróciła już do salonów pana Amadeusza.

Gustaw, chociaż panna Helena była dlań dzisiaj łaskawszą niż kiedy, był zimny, jakiś nie swój, i w końcu wyszedł, wymawiając się bólem głowy.

Reszta gości poszła wkrótce za jego przykładem. Każdy się spieszył do domu, ażeby opowiedzieć jak najprędzej swoim, czego się dowiedział o tej smutnej historji.

Pozostał tylko pan August.

— Cóż panno Heleno? Bo nie śmiem już mówić jak dawniej...

— Owszem, proszę — odrzekła panna. — Bardzo mi będzie miło, gdy wujcio (nazywała go dawniej wujciem) zechcesz jak pierwej, wołać siostrzenicę po imieniu, bez dodatku, panno.

Na to pan August coś tam odpowiedział, i powoli, powoli, tak się zajęli swą rozmową, że pan Amadeusz, siedzący opodal i marzący o możliwym związku swej córki z Augustem, usnął, i miał czas wyspać się do syta.

Tymczasem Gustaw pędził do domu zajęty jedną, jedyną myślą, co teraz pocznie. Był pewny, że kobieta, która leżała u niego, była zabójczynią, i że Eugeniusz wiedział o tem, i każdej chwili mógł wszystkim powiedzieć.

Położenie było rzeczywiście przykre.

U progu przywitał go Wicuś, z miną nader zaaferowaną.

— Cóż nowego, na Boga! — zawołał przestraszony Gustaw.

— Przed godziną był lekarz — opowiadał Wicuś — zapisał lekarstwo, kazał mi skronie śpiącej tem nacierać i poszedł. Za chwilę wymknąłem się do apteki... wracam... i wyobraź pan sobie moje zdziwienie i przestrach, kiedy patrzę, a łóżko puste, i nieznajomej kobiety nie ma nigdzie!

— Uciekła! — zawołał Gucio.

— Nie wiem, drzwi zamknąłem na klucz, a wróciwszy, zastałem je otwarte. Jak i co się stało, ja tego nie rozumiem.—Mówiąc zaś miał minę tak wylęknioną, że Gucio musiał mu wierzyć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WDOWIEŃSTWO ALINY.

(Ciąg dalszy)

Pan Béraud, nie dał jednak za wygranę. Chciał koniecznie uwolnić Alinę z więzów fatalnych, miał powierzyć całą sprawę głośnej sławy adwokatowi, chociaż śledztwo sądowe, pociągnęłoby za sobą wielkie dla nas nieprzyjemności. Byłby jednak na to nie zważał w rozjątrzeniu, całkiem zresztą słusznem i sprawiedliwem. Śmierć atoli wszystko przerwała. Nie wiem, czym ci powiedziała na początku listu, że drugi atak udaru, przewidziany przez lekarzy, a przyspieszony przez tyle wzruszeń i gwałtownych irytacji, wtrącił go do grobu przeszłego tygodnia.

Ileż musiał wycierpieć ten człowiek nieszczęśliwy, jeżeli miał jeszcze iskrę przytomności, wśród cieni śmierci, które nagle umysł i wszystkie zmysły mroziły i tępiły, gdy pomyślał o tej swojej najdroższej dziecinie, którą zostawił samą jedną w rękach rodziny, tak mało jej znanej, rodziny wreszcie, należącej do tego, który ją śmiertelnie obraził! Byłam przy nim do ostatniej chwili. Przestał już był mówić, nie ruszał się, nawet powiek nie podnosił, a jednak zdaje mi się, iż głos mój usłyszał, gdym szepnęła, nad nim pochylona: — Będę nad nią jak matka czuwała! — bo z pod powiek przymkniętych, ostatnia łza wypłynęła... Dotrzymam święcie przyrzeczenia, chociaż nie wiem, cobym wałściwie mogła zrobić dla jej szczęścia, złamanego i zniszczonego bezpowrotnie!... Ułatwi mi zadanie swoim nadzwyczajnym rozsądkiem i wielką odwagą.

Wujostwo de Sénonnes, są nią zachwyceni. Prowadzi się doskonale, dla nich okazuje tyle miłości, uszanowania i uległości, jakby córką ich była. Gdy po śmierci stryja, w chwili wylania i rozczulania niezwykłego, dom jej swój ofiarowali, błagała o pozwolenie, aby mogła zamknąć się gdzieś na wsi ze swoją świeżą żałobą, li w towarzystwie miss Ruth, która jedynie pojąć może jak wielką stratę przez śmierć stryja poniosła. Poddałam myśl ciotce, aby jej oddali na mieszkanie Bruyéres, wioszczynę, którą Sénonnes'y w Owernji posiadają. Położenie wioski smętne, od reszty świata oddzielone, będzie w harmonji ze stanem jej duszy. Znajdzie tam spokój, tak potrzebny po gwałtownych wstrząśnieniach, które przebyła, otoczy ją milczenie, pełne uszanowania, na które zasługuje położenie jej wyjątkowe. Po niejakiem wahaniu, upewniwszy się, iż w tym zapadłym kąciku, będzie wolną od wszelkich wizyt, zasłoniętą przed natrętną i głupią ciekawością próżniaków wiejskich i miejskich, gdy w dodatku obiecano zostawić ją tam samą, jak długo zechce, wybrała się w drogę, na nowe siedlisko. Tam pewno nikt jej szukać nie będzie. Wujostwo nie wiem nawet czy kiedy za lat młodych, aż tam się awanturowali, to pewna że wieśniacy dawno o swoich dziedzicach zapomnieli.

Odtąd nic o niej nie wiem, prócz tego, co mi Angielka poczciwa donosi: „Że Alina jest o wiele spokojniejszą i zdrowszą, niż się można było spodziewać. To, że przystała na pobyt w Bruyéres, pociąga za sobą niejako, milczące przyznanie się do łączności z nową rodziną, i zawieszenie broni w sprawie rozwodowej. Przepraszam! źle się wyraziłam. Rozwody we Francji nie istnieją... a więc w sprawie zerwania małżeństwa iluzoryjnego. Zdaje się, iż pan Béraud układał to wszystko bez jej wiadomości. Zastanawiam się z częsta, co myśli, co zrobi nadal ze sobą? Cały ten dramat, odgrywający się w moich oczach, interesuje mnię stokroć więcej, niż romans najbardziej sensacyjny, który czytałam kiedykolwiek. Niech kto co chce mówi, daleko, daleko! wyobraźni najbujniejszej, do wypadków tragicznych życia w rzeczywistości. Źle robią autorowie z profesji, że zamiast silić się na wymyślanie bredni niestworzonych, nie patrzą w koło siebie, i nie starają się badać życia po prostu... Skoro mnię do tego zachęcasz, napiszę prędzej czy później romans podług mojego sposobu widzenia. Jest to zresztą na porządku dziennym u naszych dam modnych. Każda mniej więcej ma palce atramentem obsmarowane; to dziwactwo przy-

szło do nas z Anglji, czy też z Ameryki... Ale, ale! czy twoja piękna Amerykanka, która umie tyle rzeczy nie jest przypadkiem „authoress“ w chwilach wolnych? Mogłaby w takim razie, naszkicować portret wielkiego oryginała, coby dało nieszczególne wyobrażenie o Rossji i Rossjanach, tym, ktorzy nie mieli sposobności, poznać ich na miejscu urodzenia.“

Książe Druckoj do hrabiny de Vesore.

„Moja piękna Amerykanka, nie wala sobie paluszków atramentem. Kwiat to dziko wyrosły, na świeżym ugorze, w owych krajach, gdzie nie wiele dbają o wytworność i wyższą cywilizację. Jest — mino iż olśniewająca żywość ruchów i gra fizjonomji, nie pozwala spostrzedz tego na pierwszy rzut oka — okazale, idealnie ograniczoną i głupią! co bynajmniej nie szkodzi jej w mojej opinji, bo wiesz dobrze, że pewna siostrunia, którą posiadam gdzieś, na szerokim świecie, stanowi jedyny wyjątek między kobietami, iż jej przebaczam wspaniałomyślnie zbytek rozumu i bystrość dowcipu. Rozum w kobiecie, przynosi zawsze wiele szkody, co do reszty... Zwierzątka fertyczne i pełne kokieterji, oto jakiemi powinne być kobiety, i jaką jest miss Aurora; ani uczoną, filozofką, artystką, wolnomyślną, jednem słowem, jest doskonałą, z wyjątkiem jednej słabostki: próżności. Nazywa mnię księciem dwadzieścia razy na godzinę, i ma dla wszystkich tytułów cześć głęboką, choćby były wczoraj kupione, naturalną u emancypantek, należących do najmłodszej z rzędu rzeczypospolitej... Mówmy atoli o czem innem... Muszę ci opowiedzieć, co mi się szczególnym wypadkiem przydarzyło:

Przechadzam się po Magadino, rzucam okiem na listę przyjezdnych, wystawioną za oknem w hotelu, i wyczytuję nazwisko Gastona de Sénonnes. Podnoszę wzrok w górę i spostrzegam na balkonie, znaną mi postać kobiecą. Była owinięta czarną chustką koronkową, od głowy spadającą, jak gdyby czuła chłód wieczorny, lub chciała zakryć rysy swoje... Otóż jest zawsze czurującą, mimo bladości róży „tei“, na pół zwiędłej i burzą złamanej. Nikt nigdy nie niósł w ramionach słodszego ciężaru, w wędrówce po boskiej Italji. Mogę ci zaręczyć, że wielu by się zgodziło, wziąć ten ciężar wyłącznie dla siebie, wbrew nawet — jak to powtarzasz tonem uroczystym — wbrew prawom ludzkim i boskim. Pozwól sobie powiedzieć, iż duch prawdziwie dzielny i bez przesądów, może właśnie znaleźć pewną przyjemność, w wyłamywaniu się z pod tych praw ogólnych. Prawda, że zbiegi zostawiają ofiarę po za sobą — używam twoich wyrażeń, chociaż uważam takowe za przesadzone, — bo koniec końców, nie było dotąd na świecie Arjadny, nie dającej się pocieszyć, i nie znam stanu godniejszego zazdrości, od wdowieństwa — ma się rozumieć! gdy wdówka jest ładną, młodą i bogatą. W tym wypadku, przez przywilej nadzwyczajny, wdówka nie potrzebuje przywdziewać krep żałobnych, wysilać się na długie tyrady o cnotach nieboszczyka, nie potrzebuje również wzdragać się przed powtórnym związkiem małżeńskim... Punkt ważny! Obraza była tak wielką, iż wszelka zemsta z jej strony, będzie naprzód wytłumaczoną; wreszcie, kłamstwo socjalne, nadaje jej zawsze pewien stopień wolności, li dla kobiet przystępnej, zostawiając cały urok dziewictwa. Casus rzadki, nadzwyczajny, który sprowadzi około niej, to co wam się moje panie najlepiej podoba, czy jesteście lekkie, czy cnoty surowej, czy odpychacie, czy też skłaniacie się ku ich życzeniom (styl romansowy) — sprowadzi jej zastęp cały adoratorów! A więc, jakkolwiek złym jest kodeks francuski, dopuszcza pewnych kompensacji, o których nie myślał może prawodawca. Spodziewam się ujrzeć przed rokiem córkę Jeftego, wracającą z gór, z uśmiechem na ustach, troszeczkę przytyłą i pogodzoną zupełnie z swoją sytuacją wyjątkową. Ty pierwsza, tak się nią szczerze interesując, nakreślisz plan, jaką ma rolę odegrać w obec społeczeństwa paryskiego, a gdybyś ty się nie czuła na siłach i na wysokości podobnego zadania, gotów bym może z miłosierdzia, sam się podać na instruktora. Otóż przyjadę na przyszły sezon zimowy, ocenić, o ile ci zaszczyt przynosi twoja elewka, i złożyć moje hołdy u maleńkich nóżek, jednej więcej miłej i zawracającej męzkie głowy... kokietki! Spytasz mnię może — przypuściwszy, że się ktoś jeszcze tem interesuje — jaką drogą poszli potępieni?! Nie umiałbym ci odpowiedzieć. Najprzód: Miss Aurora nie pozwoliła mi długo popasać w Magadino, które jest jedną ze stacji parowca na jeziorze, powtóre: że tu łączą się trzy drogi. Na górę św. Gotarda, Bernarda i Splügen. Którąż wybrali? Wiem tylko, że obecnie my, znajdujemy się w Locarno, i pniemy się w pocie czół naszych — upały stają się nieznośnemi — mimo iż jesteśmy protestantami, nieprzyjaznemi wszystkiemu, co trąci Papizmem.. pniemy się w górę, do kościoła Madonny del Sasso“

VIII.

Podczas gdy dramat, którego była główną bohaterką, wzniecał bądź współczucie, bądź ciekawość i ostrą krytykę u ogółu, dając powód do komentarzy najniedyskrytniejszych, Alina nie troszcząc się bynajmniej tem, co kto o niej myśli lub mówi, dojeżdżała do przyszłego swojego schronienia, nie znając go wcale, obarczona smutkiem, za ciężkim dla tak młodej istoty. Miss Ruth miała tam być, jedynem jej towarzystwem. Służba bardzo nieliczna, którą z sobą wiozła, miała resztę załatwiać. Co do zaspokojenia potrzeb materjalnych, liczyła na miejscowość, dokąd zdążała. Mało ją zresztą obchodziły szczegóły życia codziennego, wszystko stało jej się obojętnem, skamieniała! Zdawało jej się, iż ta maska nieczułości, którą w pierwszej chwili przez dumę, przez wstyd dziewiczy, osłaniała burzę sercem miotającą, stała się twarzą prawdziwą jakiejś innej Aliny, nie zdolnej do płaczu, jak i do uśmiechu; że dawne jej uczucia, zostały cofnięte, wtłoczone przemocą w głąb jej duszy, i nigdy już na wierzch nie wypłyną, nie ubiorą się w słowa; czuła się zwiędłą, zgrzybiałą, jak ktoś nad grobem stojący, bezwładną

jak kamyk, gdy go wicher gwałtowny od skały oderwie i w przepaść wtrąca.

Któż z nas nie zna tego stanu dziwnego, który zwykle następuje, gdy siłą woli pokonywujemy... za jaką cenę, o Boże!... okropny rozstrój nerwowy. Jest to rodzaj moralnego paraliżu, po wysiłku nadludzkim. Pytamy sami siebie: — Czuję ja jeszcze cokolwiek? Mogęż myśleć? kim-że jestem? co się ze mną stało? — Czasem ulegamy wpływowi ubocznemu, przelotnemu, zadrga w nas jakaś struna tajemna, rana pozornie w sercu zabliźniona otwiera się na nowo i krwawić zaczyna. Jest to prawie ból fizyczny, ostry, przenikający, którego nie umiemy sobie wytłumaczyć. Alina odczuwała coś podobnego w omdleniu moralnem, które jej przez cały ciąg podróży towarzyszyło. Od czasu do czasu, niby błyskawica, oświetlała jej umysł odrętwiały: — Straciłam wszystko... jestem sama... sama... Zostawiłam po za sobą drugiego ojca... i jego już nie zobaczę!...

Albo myśl jej na innego się przenosiła:

— Odjechał, opuścił mnię... rzecz skończona... życie moje na wieki zwichnięte... złamane...

I znowu myśleć przestawała, pamięć traciła tak dalece, iż się nagle pytała:

— Czemu jestem w żałobie? Gdzie jadę?

Taki zastrój w władzach umysłowych, jest nader bliskim zupełnego szaleństwa; na szczęście, wypadki, nieodłączne od każdej podróży, działały na Alinę otrzeźwiająco, rozrywały ją poniekąd. Na stacji kolei w Clermont Ferrand przesiadła się do powozu, i odtąd jechała po bardzo złej drodze. Wiła się ona po nad brzegami przepaści, utworzonych przez dawno zastygłe wulkany. Wkrótce oczuła, iż chłodne powietrze, z gór wiejące, silne wonie ziół i siana świeżo w dolinie skoszonego, łoskot głuchy potoków, szumiących wśród łożyska skałami najeżonego, że te wrażenia razem wzięte, budzą ją z letargu, przypominając, iż nie wszystko w niej samej i w koło niej zamarło. Odpowiedziała lekkiem ściśnieniem miss Ruth, która już od dawna za rękę ją trzymała, czego dotąd nie zdawała się uważać.

— God blees you! — zawołała Angielka, której wzrok niespokojny nie przestawał badać rysów Aliny, czatując na to obudzenie. — Dzieła boskie są zawsze piękne, patrz tylko, my dear!

I Alina patrzyła, oprzytomniawszy zupełnie. Nie opuszczała nigdy najbliższych okolic Paryża. Ojciec nie mógł się ruszyć, przykuty interesami, chociaż zawsze tworzył najpiękniejsze projekta podróży z córką we dwójkę. Tym sposobem w bujnej wyobraźni, objechali świat cały, nie ruszywszy się od kominka, a teraz wyjeżdżała po raz pierwszy pod naciskiem wypadków, o któych nie śniło się im obojgu!...

Siedziba w Bruyères leży nad jeziorem Chambon, naprzeciw góry Tartaret, której wierzchołek czerwoniawy sterczy wśród wieńca lasów wysokopiennych. Aby tamże dojechać, trzeba przebyć dziką pustynię, zburzoną i pooraną wybuchami wulkanicznemi. Gdzie niegdzie rzadko rozsiane chałupki, tulą się do gór olbrzymich a nieurodzajnych, i uderzają umysły nawet najmniej spostrzegawcze, jak mało zajmuje miejsca w naturze, nędzne życie ludzkie! Odczuła i Alina coś podobnego, z rodzajem pokory i rezygnacji biernej, którę takie wrażenie budzi mimowolnie.

— Widzisz — mówiła miss Ruth, która jak zwykle protestanci kochała się w alegorjach — straszliwe wstrząśnienia, pochłonęły niegdyś kwitnące sioła i miasteczka, słupy płomienne wychodziły z tych otworów, dziś na wieki zastygłych, lawa rozpalona żłobiła sobie głębokie koryto... Cóż to za przewrót musiał być wtedy w naturze! A powoli, powoli, wszystko ostygło, tchnienie pokoju wionęło po tym kataklizmie i wzburzeniu żywiołów... i dawny porządek przywróciło.

Urwała. Wzrok Aliny, wlepiony w nią badawczo, zdawał się pytać dokąd dąży? Po chwili milczenia nieśmiało, trwożliwie, znowu przemówiła:

— Wszystko tak się uspokaja i... przechodzi moje dziecię... burze i niepokoje w sercu naszem, jak i przewroty w naturze.

Pierwszy to raz dotknęła struny drażliwej, wspomniała w przenośni o wielkiej boleści, którą tak szczerze podzielała.

Alina uczuła dreszcz nerwową:

— Nie mówmy o nas — szepnęła — nie mówmy nigdy...

Wcisnęła się drżąca w głąb powozu i oczy przymknęła.

Nie potrzebowała tego powtarzać. Miss Ruth z przewodnikiem dokładnym, rozłożonym na kolanach, wyliczała sumiennie wszystkie gór wierzchołki, w chmurach szarzejące, nazywała najlichsze wioszczyny, kościoły lub stare zamczyska w ruinie, na skałach bazaltowych zbudowane, a dziś na pół zawalone i wiekiem omszone, nie dające się prawie od podstaw swoich odróżnić. W ten sposób dotarły przed nocą do Bruyéres. Powitała je zdaleka wieża, ostatnia pamiątka po starem zamczysku, niby czujna wedeta naprzód wysunięta. Niedostępność i ponurość tej miejscowości wielce się podobała młodej hrabinie de Sénonnes. Była w zupełnej harmonji z jej nastrojem duchowym.

— Tak wysoko — pomyślała — nikt mnię szukać nie zechce.

Samotność i cichość, były dobrem jedynem, którego obecnie pragnęła.

Droga najgorzej utrzymana, kręcąc się wężowato, prowadzi od stóp góry, gdzie skryła się nędzna — jak wszystkie tutaj — i uboga osada, aż na sam szczyt tejże, ozdobionym rodzajem fortecy. Gdy powóz przez wieś przejeżdżał, odezwał się ze wszystkich stron koncert przeraźliwy, złożony z psów chudych, gwałtownie przed chatami ujadających, i z piskliwych głosów dzieci wiejskich, bosych i na pół nagich, które w kurzu zagrzebane, bawiły się na środku drożyny. Wieśniacy, na progu chat stojący, odkrywali głowy z uszanowaniem. Powiedziano im o synowej dziedziców wioski, która zjeżdża, aby pod męża nieobecność, spędzić tu samotnie czas żałoby. O więcej nie pytali, obojętni i nieciekawi tego, co wychodziło po za obręb ich własnego interesu

(c. d. n.)

Pogadanka.

A więc górą śledzie!

Pościmy i umartwiamy ciało i ducha, przygotowując się z niekłamaną radością do roskoszy karnawałowych. Jakkolwiek kościół dotychczas nakazuje tylko umartwianie ciała, my Lwowianie przystąpiliśmy do tego aktu skruchy, po grzechach popełnionych w czasie kanikuły, z tak wielkiem namaszczeniem, że i ducha postanowiliśmy umartwić. Dotychczas nam to się całkowicie udaje, gdyż mimo że nadszedł sezon koncertów, odczytów i wszelkich spektaklów, jakoś cicho i głucho wśród naszych sal publicznych. Wprawdzie duch nasz przyzwyczajony do tego postu i zbytniej potrzeby pokarmu nie odczuwa, jednakże lubimy przynajmniej od czasu do czasu przeczytać metrowy plakat, że i nas jakiś geniusz, jakkolwiek zapoznany, swym artyzmem zdumieć raczy. Wszak mamy pretensję do manier wielkomiejskich!

Pretensja ta nasza w ostatnich czasach dostała porządnego nosa, bo Coquelin wraz z swą trupą nie raczył zawitać do Lwowa i uraczyć nas kilkoma przedstawieniami. Co ten jakiś tam Coquelin sobie myśli! Wszak Sara, sławna Sara, niewypuściła z swej przejażdżki Lwowa, chcąc nam, jak się wyraziła, odpłacić za krew polską, przelaną dla Francji! A ten Coquelin, nie dość, że do nas nie przyjechał, jeszcze śmiał na dworcu w Krakowie narzekać na tamtejszą restaurację!... Lecz nie psujcie sobie krwi moi łaskawi współmieszkańcy i nie miejcie żadnej pretensji do Coquelina, bo jeśli już raz Sara zapłaciła nam swemi występami ofiarę krwi, złożoną na ołtarzu Francji, nie możemy żądać przecież powtórnej zapłaty od Coquelina! Pretensje nasze są zupełnie wyrównane, a chyba daj Boże, żeby Francji prędko potrzeba było znowu krwi polskiej, to po przelaniu jej doczekamy się znów jakiego aktora lub aktorki francuskiej, zjeżdżających w mury nasze w roli dyplomaty, wyrównywającego międzynarodowe długi.

Lecz dajmy spokój tym drwinom z głupoty i zarozumiałości ludzkiej, a zejdźmy na bruk lwowski, lecz czyńmy to nader ostrożnie, bo pośliznąć się i upaść na nim nie trudno.

W ostatnich dwóch tygodniach mieliśmy dwa kryminalne procesy o proste morderstwa, dokonane na żydach z zamiarem rabunku, z których pierwszy skończył się uwolnieniem obwinionego, drugi zaś skazaniem na śmierć. O słuszności lub niesłuszności wyroku wedle mego zdania, nie będę mówić, gdyż mógłby się tem zbytnio zainteresować pan prokurator, i cały nakład schować sobie na pamiątkę. Zresztą szanowni czytelnicy znają zapewne cały przebieg procesu z dzienników codziennych, i zapewne jak ja zostali zdziwieni wyrokiem wydanym w procesie pierwszym, w którym w obec mniej niż problematycznych dowodów prokuratorji, z powodu jedynie, że sznurki od cukru są mniej więcej do siebie podobne, znalazło się aż sześciu mężów, który z czystem sumieniem potwierdzili winę oskarzonego. Nie chcę zresztą więcej o tem mówić z powodów wyżej przytoczonych, lecz muszę się jeszcze zastanowić nad jednym zarzutem, uczynionym nam przez pana prokuratora. Otóż zarzucił on nam ni mniej ni więcej, tylko że za mało zajmujemy się sprawami kryminalnemi i że sami nie chwytamy zbrodniarzów! *Horrendum*! Przyznał się też pan prokurator, że na 13 morderstw, popełnionych w ostatnich czasach we Lwowie, dopiero pierwsze doczekało się aktu oskarzenia (i to takiego, że sędziowie musieli obżałowanego uwolnić!) a winni jesteśmy temu my, publiczność! O czarowna naiwności, jakież twe kwiaty woniące! Najpierw muszę tu zauważyć, że sprawami kryminalnemi nie my się mamy zajmować. Niech się niemi zajmują ci, do których to należy, a w pierwszym rzędzie pan prokurator. Powtóre nie powiem, byśmy się niemi tak znowu mało zajmowali, a jeśli nie my, to płeć piękna, zapełniająca galerje sali sądowej, zajmuje się niemi za nas i za siebie, i gdyby która z tych pań choć cokolwiek wiedziała, ręczę, nawet z galerji sądowej nie omieszkałaby wołać, że to nie tak było, lecz owak.

Nasza policja również często wsiada na tego konika i brak swej energji i sprężystości zarzuca publiczności, która jej nie pomaga w łapaniu opojów i rzezimieszków. Ależ w takim razie na co nam policji, na co nam sądów i pana prokuratora? Jeżeli sami na każdym kroku bronić się mamy, cóż im wtedy pozostanie do czynienia? A! zapomniałem, wszak nasza policja wyłapała (wprawdzie tylko przypadkiem) tuzin moskalofilów, a obecnie tuzin pseudosocjalistów! Na łapanie takich drobnych rybek jak rzezimieszki, oszuści, złodzieje a nawet mordercy, nie ma ona czasu obecnie i zostawia to publiczności, sama zaś zajęta jest wyłapywaniem takich szczupaków, które zagrażają ustrojowi państwa! „Cóż to, to u was we Lwowie wre i kipi, stoicie na wulkanie! Morderstwa na porządku dziennym, moskalofile nurtują wśród ciemnych mas ludu, a i socjalizm zapuścił już swe korzenie!“ zawoła nie jeden przerażony. — O! moi panowie, tak źle u nas nie jest! Mamy morderstwa, lecz zwykle jest to morderstwo dla odebrania żydkowi piątki, którą zabójca u niego zobaczył; mamy moskalofilów, lecz kupowanych po dwadzieścia pięć rubli i szklankę piwa za sztukę; mamy wreszcie pseudo-socjalistów, nie wiedzących nawet co to jest socjalizm, zwykłą paczkę studentów i terminatorów, którzy chcieliby się zabawić w socjalizm, jak dzieci w żołnierzy. Policja zrobiła z tego wielką bryję, chcąc choć na chwilę olśnić oko nieprzyzwyczajone do tego jej blasku, a naród zamiast zostać olśnionym, przeraził się tylko, bo sądził, że jeżeli aż nasza policja wpadła na trop tej bandy, to we Lwowie już chyba co drugi musi być socjalistą! No, tak źle jeszcze nie jest, a wyłapani socjaliści, których komitet stanowili panowie Drabik, Pocięgiel i Dratewka, z całego socjalizmu rozumieli tylko, że majątki należy podzielić, i oni to zapewne udawali się z taką prośbą do p. Kiselki. Zostało im to odmówione, więc z własnych widocznie już składek kupili sobie dwie kule eksplodujące, używane do polowania na dziki, nie chcąc być socjalistami na żarty, i te dwie kule figurują teraz w sądzie jako *corpus delicti*!

Ot, jak widzicie, bawimy się tu dobrze i nie źle nam się powodzi, kiedy nam w głowie takie figle socjalistyczne. Z całego socjalizmu rozumiemy tylko ten paragraf, który mówi: „dawaj hroszy“, a mojem zdaniem jest to paragraf najrozumniejszy, i nie chcącemu dać ich groziliśmy dotąd owymi dwoma kulami, obiecując zastrzelić go jak dzika, dopóki nas wraz z kulami nie wsadzono „*in die Ziege.*“ Zresztą wielu z nas pisałoby się na socjalistów w tym duchu, gdybyśmy tylko wiedzieli do kogo zawołać: „dawaj hroszy“, bo dzisiaj choć jeden do drugiego ciągle to krzyczy, żaden „hroszy ne maje.“

O teatrze tym razem nic nowego donieść nie mogę, chyba to, że dziś, to jest w sobotę, będziemy podziwiać nową 2aktową operetkę p. t. „Lekka kawalerja“, a na poniedziałek zapowiedziano nam ku uczczeniu 50 letniego jubileuszu pana Karola Langa, żołnierza z r. 1831 i członka orkiestry teatralnej, przedstawienie teatralne, połączone z koncertem, z współudziałem p. Mikulego, Panny R. i męzkiego chóru towarzystwa muzycznego.

Kwik-kwak.

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki.